CC BY ND

Pigoń – Górski. Starcie edytorskich gigantów w „umysłowym turnieju”

(oprac. Mirosław Strzyżewski)

Prezentujemy tu nieznane dokumenty z Archiwum Konrada Górskiego (materiały twórczości naukowej, teczka nr 106) za zgodą Towarzystwa Naukowego w Toruniu, które opiekuje się zdeponowanymi po śmierci Profesora jego bogatymi zbiorami bibliotecznymi i archiwalnymi. Publikacja niniejsza uzupełnia wstęp do nowego wydania *Tekstologii i edytorstwa dzieł literackich* Konrada Górskiego, jakie ukazało się w 2011 roku nakładem Wydawnictwa Naukowego UMK. Przedstawiono tam w skrótowym zarysie na podstawie prywatnej korespondencji m.in. konflikt Konrada Górskiego jako autora książki *Sztuka edytorska* z równie wybitnym filologiem Stanisławem Pigoniem. Obaj uchodzili podówczas (i tak jest nadal) za autorytety w dziedzinie badania tekstów Mickiewicza. Nie będę więc powtarzał uwag zawartych już we wspomnianym wstępie do wznowionej książki, przypomnę tylko, że ostra polemika pomiędzy profesorami wywiązała się wskutek krytycznej recenzji wydawniczej autorstwa Stanisława Pigonia z pracy Górskiego, znanej później jako *Sztuka edytorska. Zarys teorii* (Warszawa 1956), a wcześniej sygnowanej tytułem *Zasady poprawnego wydawania dzieł literackich*. Podręcznik ten stanowił pierwszą wersję bardzo cenionej w środowisku filologów późniejszej monografii *Tekstologia i edytorstwo dzieł literackich* (pierwsze wydanie – Warszawa 1975).

Na początku marca 1955 roku Stanisław Pigoń przesłał do Polskiego Wydawnictwa Naukowego zamówioną recenzję, pozytywnie opiniując do druku książkę Konrada Górskiego, niemniej formułując przy okazji wiele zdań krytycznych, zaopatrzonych nadto prowokującymi uwagami *ad personam*. Należy dodać, że Górski z rozmaitych powodów, w tym politycznych, nie został wcześniej zaproszony do prac Komitetu Redakcyjnego *Dzieł* Mickiewicza (tzw. Wydania Jubileuszowego), w którym ważną rolę odgrywał Stanisław Pigoń. Toruński uczony zajmował się wówczas przede wszystkim badaniem języka poety na podstawie autografów i wyniki swoich badań udostępniał w artykułach. Wskazywał w nich konieczność ponownej analizy utworów poety pod kątem możliwości wprowadzenia emen-

CC BY ND

dacji stanowiących rezultat nowych odczytań rękopisów, do czego sceptycznie podchodził Pigoń. Górski w przygotowywanej książce w dużym stopniu, mimo wielu cytacji, zignorował wyniki badań Pigonia, nie zgadzał się m.in. z jego podejściem do relacji pomiędzy autografem a wydaniem kontrolowanym przez autora. Było to, jak sądzę, ukryte tło ostrej polemiki, która skończyła się zerwaniem stosunków prywatnych pomiędzy profesorami i brakiem współpracy naukowej w kolejnych latach.

W drukowanej tu recenzji Pigonia oraz w odpowiedzi Górskiego warto jednakże zwrócić uwagę nie tylko na spór naukowy i konflikt personalny profesorów (to należy już do historii nauki), ale na atmosferę owej dyskusji – gorącą, bezkompromisową, ideową. I na środki perswazji w niej używane, od argumentów merytorycznych, racjonalnych, opartych na odczytywaniu autografów i badaniach historycznych, po chwyty retoryczne zbudowane na ironii, złośliwościach, tendencyjnych uogólnieniach czy analogiach. Nie trzymając żadnej ze stron, warto dostrzec ogromną pasję i zaangażowanie emocjonalne adwersarzy, jakże odmienne od dominującej dziś chłodnej i wyrachowanej często dyskusji. Takich polemik i takich pasjonatów po prostu już nie ma w naszym literaturoznawstwie. Można uczyć się od nich siły argumentacji, dociekliwości badawczej, wyczulenia na każde wypowiedziane słowo, warto podglądać stylistykę polemiczną i tok myśli. To znakomita stara szkoła rodzimej humanistyki.

Przystosowując teksty do druku, dokonaliśmy poprawek oraz ingerencji modernizacyjnych w zakresie ortografii, interpunkcji i rozszerzenia niektórych skrótów. Zachowaliśmy cechy językowe autorów, ujednoliciliśmy niekonsekwentne sposoby zapisu graficznego, mimo że niekiedy odbiegają one od przyjętych współcześnie konwencji. Zrezygnowaliśmy z przypisów objaśniających, albowiem wymienione postacie, tytuły książek czy artykułów i sytuacje tekstowe w dużej mierze są znane edytorom. Wszelkie podkreślenia w tekście pochodzą od autorów.

CC BY ND

Stanisław Pigoń

Uwagi o książce K. Górskiego
Zasady poprawnego wydawania dzieł literackich

O książce tej dałoby się powiedzieć bardzo dużo dobrego. Przede wszystkim to, że jest, że otrzymujemy pierwszy polski podręcznik edytorstwa, i to właśnie w momencie, kiedy wskutek rozrostu ruchu reedycyjnego tak bardzo jest potrzebny. Także w jakości dzieła wiele zalet: dobry układ, bogaty dobór przykładów z literatury polskiej i pozapolskiej, trafne w ogromnej mierze rozwiązania zadań, jasność i wielka siła sugestywna wykładu; autor dysponuje wybitnym temperamentem pisarskim, który sprawia, że dzieło jego czyta się nie jak żmudny podręcznik, ale jak utwór literacki o znacznej dynamice dramatycznej.

Ale nie piszę wszechstronnej oceny dzieła, chcę dać recenzję roboczą, która by w pewnym choćby zakresie mogła się przyczynić do udoskonalenia dzieła tak wartościowego. Zwracam więc uwagę na to wszystko, co by można dodać i uzupełnić, i co by wymagało innego nieco ujęcia. Uwagę swą nastawiam zatem celowo jednostronnie na niedomogi dzieła.

Niedomogi te ujmuję w dwie grupy: ilościową i jakościową. Przy czym zaznaczam z góry, że pracę omawianą oceniać będę przede wszystkim ze stanowiska wymogów podręcznika.

Jeżeli to ma być podręcznik uniwersytecki, jedyny podręcznik w tym zakresie, podręcznik, z którego się będą uczyć zarówno studenci, jak zapewne i ich instruktorzy: młodsze siły naukowe, jak wreszcie dosyć znaczne już rzesze zatrudnionych po wydawnictwach pracowników fachowych edytorskich – to aktualny chyba będzie postulat, żeby ten podręcznik obejmował całość zadania, żeby obejmował zakres zadań od podstaw do szczytów.

Jeżeli tak, to trzeba powiedzieć, że podręcznikowi omawianemu brak zaraz pierwszego rozdziału, traktującego o korekcie. Rozdział to elementarny, ale od takiego elementarza musimy zaczynać ćwiczenia. Nie można powiedzieć, że n a u k o w e g o edytora korekta nie obchodzi, bo to robi się w korektowniach instytutów wydawniczych. Przecież i pracownicy owych instytutów muszą się gdzieś tej sztuki nauczyć, będą więc sięgać po podręcznik, a następnie i przyszły naukowy edytor również sam musi mieć z korektą dużo do czynienia, musi więc opanować arkana tej sztuki. Przez ten stopień dopiero dochodzi się do kolacjonowania. Trzeba go więc pouczyć o rodzajach korekty: cicha, autorska, następnie wzrokowa, słuchowa, także kontrolna, wreszcie korekta techniczna i adiustacja do druku. Pouczyć o typowych błędach i o walce z nimi, wyjawić najzłośliwszego z diablików drukarskich: haplografię (z obecnego tekstu uczeń nie pozna nawet samego tego terminu) i wskazać, jak mu się zapobiega; odkryć harce drugiego diablika swawolącego w linotypie, omówić główne niebezpieczeństwa grożące zniekształceniem tekstu przy tej technice składania i wskazać znowu technikę walki z nimi. Trzeba nauczyć umownych znaków korektorskich, podać ich tablicę.

A ileż problemów przy adiustacji i przy gospodarce stopniami i krojami czcionek, przy rozkładzie tekstu na stronicy, przy systemach skrótów etc., etc. Poszczególne wydawnictwa mają pod tym względem swe ustalone konwencje; trzeba jedną i drugą taką konwencję przedrukować, zapewne i omówić zasady, na jakich się wspierają, może zaproponować jednolitą, nadrzędną, która by zunifikowała do pewnego stopnia wygląd typograficzny dzieł różnych kategorii.

Ileż ich przy estetyce druku: sprawy układu obrazu typograficznego stronicy według bocznej czy środkowej osi, sprawy tzw. bękartów czy niedociągnięć kolumny etc., etc.

Otóż całe to zadanie umiejętnej korekty, zorganizowanie na kompletach seminaryjnych takich prób i zawodów ćwiczebnych, wprawiających w jak najwyższą sprawność korektorską, musi być właśnie wstępnym zadaniem prowadzącego ćwiczenia, a więc i zadaniem podręcznika. W przedłożonym zarysie podręcznikowym rozdział taki powinien być dorobiony.

CC BY ND

I drugiego jeszcze całego rozdziału brak w tym zarysie. W dzisiejszym stadium zadań edytorstwa naszego dużo miejsca zajmuje wydawanie listów. Opracowanie edytorskie tego rodzaju tek listów wymaga umiejętności w znacznym stopniu odrębnych; występują tu problemy przy utworach czysto literackich w tym stopniu nieistniejące, żeby wspomnieć tylko trud ustalania chronologii przy listach niedatowanych czy datowanych ułamkowo. Nauki pomocnicze historii wiele tu pomagają filologowi. Chciałoby się, żeby podręcznik edytorstwa nie odsyłał do nich, też zresztą częstokroć niedostępnych (*Vademecum* T. Wierzbowskiego wyczerpane od iluż lat!), ale podał na nasz użytek to, co najkonieczniejsze: tabele kalendarza rzymskiego, juliańskiego, tabelę świąt ruchomych, tabelę ułatwiającą ustalenie dat tygodniowych w latach ubiegłych (taką chociażby, jaką pomieścił kalendarzyk Orbisu na r. 1953) itd. Poza tym sama technika opracowania listów, oznaczania ich proweniencji, podawania regestrów itp., ujęta zresztą w przepisach naszych towarzystw naukowych, powinna tu być przedstawiona i uzasadniona. Autor podręcznika całą tę obszerną sprawę zostawił poza nawiasem swego zadania, i nie wiem, czy kto powie, że uczynił słusznie. W każdym razie kompletność podręcznika wyraźnie na tym ucierpiała.

Jeżeli mowa o niedociągnięciach ilościowych, to wskazać ich można pewną ilość także w obrębie rozdziałów opracowanych. Tak np. zaraz w rozdziale I autor mówiąc o wybitniejszych osiągnięciach naszego edytorstwa krytycznego, pominął kapitalną pozycję: wydanie *Genezis z Ducha* przez W. Lutosławskiego; dokonane przy pomocy metod filologii klasycznej było ono na swój czas (1903) szczytowym pokazem precyzji krytycznej (prawda: w węższym zakresie, autor wydał utwór na podstawie jednego tylko autografu), wartym osobnego omówienia. Wartym z tego także względu, że wydawca w obszernym wstępie przedstawił szczegółowo technikę pracy zespołowej, zorganizowanej do tego celu. Dzisiejszy jeszcze edytor może się stamtąd niejednego nauczyć. Autor podręcznika nie skierował swych czytelników w tamtą stronę.

Przez przemilczanie osiągnięć tekstologicznych Lutosławskiego powstała druga jeszcze przykra luka w omawianym podręczniku. W rozdziale VII omawiającym dochodzenie autorstwa, a w którym przydałby się także ustęp o dochodzeniu chronologii bezwzględnej czy względnej utworów, znowu ani słowa nie powiedziano, jak przydatnym narzędziem może tu być stylometria i tego terminu nie pozna uczeń z podręcznika. A przecież jest to metoda stosowana szeroko w Anglii i w Niemczech; Lutosławski wyłożył jej arkana w angielskim dziele o *Logice* Platona (ale i w polskich jego streszczeniach) oraz w osobnym zarysie francuskim. Stosowali ją u nas Szyjkowski – z mniejszym – i Ćwik – ze znaczniejszym skutkiem, przygodnie także St. Wasylewski, właśnie przy dochodzeniu autorstwa (artykułów Mochnackiego) i chronologii (pism filozoficznych Krasińskiego). Godzi się, by adept edytorstwa naukowego przynajmniej z referatu dowiedział się, co to jest stylem i jak się nim operuje.

Inne pominięcia odbijają się na pożądanej pełni problematyki wewnątrz rozdziałów. Oczywiście najszczegółowszy nawet podręcznik nie pomieści omówienia wszystkich trudności, jakie mogą się nasuwać przy edytorskim opracowywaniu tekstów, ani też wszystkich sposobów [u]porania się z nimi. Rzeczywistość jest bogatsza niż jakakolwiek siatka jej systematyki. Niemniej starać się trzeba zmieścić ich jak najwięcej, takich przynajmniej, jakie nawinęły się w dotychczasowej praktyce nam samym czy komu innemu. Podręcznik omawiany robi wrażenie, że autor pełną ręką czerpał w nim doświadczenia z dorobków własnej praktyki, a w mniejszym stopniu brał pod uwagę doświadczenia cudze. Toteż zakres omawianej tam problematyki wyraźnie na tym ucierpiał. Jeden przykład to unaoczni.

Podręcznik omawiany robi wrażenie, że autor pełną ręką czerpał w nim doświadczenia z dorobków własnej praktyki, a w mniejszym stopniu brał pod uwagę doświadczenia cudze

Nie zatrzymał autor dłużej uwagi na wypadku *Obleżenia Jasnej Góry*. Sprawa autorstwa tego poematu zajmowała u nas wielu i długo. Krzyżanowski przypuszczał Kochowskiego, Czubek Odymalskiego; każdy swej racji jakoś dowodził. Po ogłoszeniu utworu dyskusja się rozszerzyła i przyniosła osiągnięcia do pewnego stopnia pozytywne. Autora wprawdzie nie ustalono, ale ustalono z dużą pewnością rejon jego pochodzenia. Uzyskano to (w rozprawie A. Feia) przy

CC BY ND

pomocy zbadania tzw. rymów sandomierskich. Ostatnio Stieber tą swą metodą badał sprawy autorstwa w literaturze tzw. mieszczańskiej XVII w. i czynił to również owocnie. Co to za sprawdzian, na czym polegają rysy sandomierskie – w podręczniku znowu o tym cisza.

Z własnych swoich doświadczeń mógłbym tu wysunąć niejeden problem, niejeden przypadek trudności by tak rzec okazowej, wartej omówienia, a tu pominiętej (np. wypadek „odmładzania” tekstu przez autora na użytek reprezentacji scenicznych: rugowanie „waćpanów” itp. przez Fredrę ok. 1875 z komedii pierwszego okresu; inny bardzo osobliwy wypadek z tekstem *Andrzeja Radka* Żeromskiego i jeszcze inne). Nie zwróciły one uwagi autora podręcznika, wolno mniemać – z ujmą dla szczegółowości jego dzieła.

Ale sprawę tę trzeba ująć jeszcze inaczej. Jest rzeczą zrozumiałą, że autor nie mógł objąć w swej książce wszystkich nasuwających się wypadków, musiał się ograniczyć do najznaczniejszych. Ale czy potraktować inne *per non sunt*? Sądziłbym, że nie. I dotykam dalszego, bardzo istotnego mankamentu w podręczniku. Byłbym zdania, że po każdym rozdziale należy zestawić pozycje bibliograficzne w rozdziale nieomówione, ale doń przynależące. W ten sposób uzyska się materiał na dodatkową lekturę dla ćwiczących się, zarazem materiał do omówień krytycznych, które kierujący ćwiczeniami będzie musiał rozdawać adeptom i uczynić przedmiotem dyskusji zbiorowych. Więc np. przy rozdziale traktującym o wydaniach zbiorowych trzeba zszeregować większą ilość takich wydań, zwłaszcza nowszych (np. Trembeckiego, Zaborowskiego, Krasińskiego, Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej etc.), które by winny być na ćwiczeniach szczegółowiej zbadane i krytycznie przedyskutowane. Gdzieś tam winien się zmieścić artykuł Weintrauba *Jakiego Kochanowskiego znamy?* i wiele t[ym] p[odobnych]. Przy rozdziale o ustalaniu autorstwa znajdą się w owej dodatkowej bibliografii takie pozycje, jak Krzyżanowskiego rozprawa o *Historii w Landzie*, Erzepkiego o autorstwie *Carmen macaronieum*, Kota o Otwinowskim, jak całe *dossier* sporu o Zimorowiczów itd., itd. Gdzieś by także umieścić taką osobliwość jak rozprawa E. Kucharskiego o „pani, co zabiła pana”. Ich przestudiowanie otworzy studentom oczy na przypadki podręcznikiem nieobjęte. Takie wyposażenie w wykazy literatury pomocniczej da się dołączyć do każdego rozdziału. Podniesie to znakomicie wartość użytkową podręcznika, przede wszystkim dla prowadzących ćwiczenia. Bierzemy pod uwagę, że – jak się rzekło – w obecnym układzie rzeczy będą to przeważnie asystenci.

Żeby wyczerpać co grubsze sprawy o rozszerzenie tekstu podręcznika, dorzucę słowo o wywodach tyczących sprawy modernizacji tekstu. Autor rozważył sprawę należycie, może raczej omawiając zasady i granice. I sprawa wymaga w podręczniku ściślejszego sprecyzowania i dalej idącego ułatwienia dla studiujących adeptów. Tutaj bowiem natrafiać oni będą najczęściej na trudności szczegółowe, z którymi się uporać trudno. Autor zaznaczył, że jeżeli chodzi o zasady transkrypcji tekstów staropolskich, to są one w nowym ulepszonym wydaniu w druku; jeżeli chodzi o teksty nowsze, to zasad takich ogólnie ujętych rzeczywiście dotąd nie ma, są tylko indywidualnie ustalone dla konkretnych celów przez Bruchnalskiego i Kleinera. Niby prawda, ale dla adepta mała stąd pociecha. Wolałby on zapewne znaleźć w dodatkach do swego podręcznika przedrukowane owe zasady ustabilizowane, a może i te indywidualne, po prostu jako punkt wyjścia i przykład. Nie jest zresztą tak całkowicie ścisła informacja, że ich nie ma. W r. 1937 przy Komitecie Ortograficznym PAU istniała sekcja dla ustalenia takich prawideł dla tekstów nowszych. Brali w niej udział dobrzy fachowcy: Kleiner, Borowy. Sekcja projekt opracowała. Niezbyt on się udał i Akademia go nie ogłosiła, niemniej jest i jako próba nadaje się doskonale do krytycznego omówienia, może nawet jako punkt wyjścia do propozycji, na którą autor podręcznika sam może zechciałby się porwać. Znowu by się prosiło, żeby projekt ów przedrukować. Rozszerzyłoby to wszystko trochę ramy podręcznika, ale uczyniłoby go w praktycznym wykorzystaniu o ile użyteczniejszym.

Niedomogi drugiego rodzaju, które z kolei pozaznaczać wypadnie, dotyczą jakości wywodów, doboru i sposobu argumentacji itp. Jak zwykle bywa: wady ludzkie są przedłużeniami

CC BY ND

ludzkich zalet, przedłużeniami poza normą. Powiedziało się tu u wstępu o temperamencie pisarskim autora. Trzymany na wodzy – zapewnił książce cenną żywość wywodów; kiedy mu się popuszcza cugle – płata figle. Wartkość wywodu mąci niekiedy równowagę, umiar i oględną sprawiedliwość wykładu. Nie ma co podkreślać, że właśnie w podręczniku jest to zjawisko niepożądane. Podręcznik wolny być winien od subiektywizmu, zacietrzewiania się, uprzedzeń, właśnie od wybujałości temperamentu. W omawianym podręczniku niejedno pod tym względem wymaga stonowania, większej dozy krytycznej oględności.

Nie pretendując do wyczerpania materii, ograniczę się do niektórych przykładów. Jeden biorę z przypisków. Na str. 225 omawia autor artykuł Ulewicza, który stwierdziwszy, że staropolszczyzna miała do dyspozycji tylko cztery znaki przestankowe, proponuje w reedycjach stosować nowsze, szersze przestankowanie. Autor podręcznika odrzuca propozycję, która by – jak powiada – otwierała możliwość wprowadzenia w teksty staropolskie dzisiejszej uczuciowej afektacji, np. młodopolskiej profuzji wielokropków, myślników czy wykrzykników. Jako chwyt erystyczny jest to zręczne, ale jako argument błahe; każde zdanie można sprowadzić do absurdu, ale to nie znaczy jeszcze je zbić. Oczywiście, jeżeli zagorzały młodopolak przesieje tekst Sępa wielokropkami, to wyjdzie śmieszność, ale jeżeli stateczny filolog w rozumnym namyśle zamiast czterech znaków staropolskich zastosuje w przedruku popularnonaukowym dzisiejsze sześć czy siedem – to co? To filologiczny występek? Owe ubóstwo znaków interpunkcyjnych ma autor za objaw „staromodnej dyskrecji". A może to objaw po prostu tylko... braku?

Drugi przykład porywczości autora w sądach. Bez większych skrupułów opowiada się on za twierdzeniem Gaertnera, że biografia Reja przy *Zwierciadle* jest autobiografią. Przekonała go „tak wielka ilość" wspólnych cech językowych między tym utworem a innymi pismami Reja. Ilość ta ma niewątpliwie znaczną siłę dowodową, nikt temu nie przeczy. Niemniej rozwaga krytyczna kazałaby zaczekać z decyzją, aż dowód będzie przeprowadzony w całości. Nie dość stwierdzić, że wydobyte elementy słownika, odmiany itd. występują wspólnie w biografii i w innych pismach Reja. Przekonałoby nas, gdyby pokazać, że nie występują one u innych ówczesnych pisarzy (np. Bielskiego), a zatem, że nie są wspólnym znamieniem owoczesnego języka literackiego. Może i nie są, ale dopóki tego nie dowiedziono, nie można powiedzieć, że dowód jest wyczerpany i zamknięty, nie uchodzi (jak to zrobił również porywczy Gaertner) wydawać biografii jako autobiografii i nie godzi się aprobować tego w podręczniku, któremu nie do twarzy, kiedy hipotezy podaje za pewniki.

Przykład trzeci jest trochę kłopotliwy, bo może być poczytany za pieniactwo osobiste. Postaram się przedstawić go obiektywnie. Autor odrzuca postawioną kiedyś przeze mnie propozycję, by w wydaniach krytycznych unikać hipertrofii aparatu krytycznego a trzymać się zasady selekcji. Żeby przekonać o słabości tego wywodu krytycznego zajrzał autor do sporządzonego przeze mnie popularnonaukowego wydania *Pana Tadeusza* w IV t. Wydania Sejmowego i stwierdził, że trzymając się tej zasady selekcji pominąłem w pierwszych sześciu księgach 18 ważnych odmian tekstu. Oczywiście zgodzę się łatwo, że tę liczbę można by podwoić czy potroić. Ale czego to dowodzi? Autor, zwalczając pewną zasadę, posłużył się metodą polemiczną, którą K. Irzykowski nazwał kompromitacjonizmem. Nie jest to atoli metoda najstosowniejsza w dyskusjach naukowych, a cóż dopiero w podręczniku. Boć trochę bardziej rozgarnięty student pozna się na rzeczy. Zestawione błędy – czego dowodzą? Że realizator zasady był nic po tym, ale jeszcze nic: że zasada jest nic po tym. Żeby tego dowieść – nie dość kompromitacjonizmu, trzeba by merytoryzmu. Tego tymczasem autor podręcznika nie zastosował, gotów bym nawet mniemać, że zastosować nie mógł, bo... sam przecież opowiada się przy zasadzie selekcji. Szerzej wprawdzie wytyczonej niż u mnie, ale zawszeć selekcji. Różnimy się w granicach stosowania, a nie w samej zasadzie. Dodajmy i to, że ja zastosowałem zasadę selekcji odmian w wydaniu typu B, a on zaleca swoją w typie A, tzn. ultraprecyzyjnym. Wolno tu chyba mówić o braku konsekwencji. Coś podobnego jak przy Ulewiczu. I tam w przypisku zwalcza autor jego tezę,

Autor podręcznika odrzuca propozycję, która by – jak powiada – otwierała możliwość wprowadzenia w teksty staropolskie dzisiejszej uczuciowej afektacji

CC BY ND

a w tekście głównym przyjmuje ją przy wszelkiej transkrypcji („z interpunkcją można postępować swobodnie”, str. 16), a jest tylko za tym, żeby ją stosować „ostrożnie”. Skądżesz wniosek, że Ulewicz doradzał nieostrożność?

Podobnież i tu. Mówiąc o granicach aparatu krytycznego (str. 77), rozstrzyga autor apodyktycznie, że mając tekst drukowany i autograf, nie włączamy do aparatu krytycznego słów niedokończonych w autografie. Żeby było dokumentniej powtarza to jeszcze raz (str. 82). Czyż to nie selekcjonizm? Łatwo można sobie wyobrazić zapalczywego polemistę, który z tego powodu pociągnie autora przed kratki – nie bez słuszności. Jeżeli poeta wydrukował: „złoty kwiat”, ale w autografie zaczął pisać „żół”, to czy to nic nie mówi o naturze jego wyobraźni twórczej, a zwłaszcza dążności jego przy formowaniu wyrazu artystycznego? Czyż to obojętne? Czemuż zatem to świadectwo tak znamienne ma się skazywać na zagładę, ma się chować przed czytelnikiem aparatu krytycznego najwyższego stopnia? Jak ścisłość i precyzja – no to już ścisłość i precyzja, a nie zamaskowany selekcjonizm! Nie pomylę się chyba, przyjmując, że temperament polemiczny poniósł i tu autora poza granicę ścisłości i konsekwencji.

Jeszcze jeden przykład podobnego pokroju. Na str. 96 wspomina autor o pewnym bardzo niewyraźnie zapisanym wyrazie w wierszu Mickiewicza *Komar niewielkie licho*... Były dawniejsze trzy próby odczytania, wskutek owej niewyraźności rzeczywiście bardzo rozbieżne. Rozbieżność ta jest dla autora podręcznika „źródłem niezrównanego komizmu”. Na stromą ścianę próbują się wspinać śmiałkowie. Jeden za drugim odpada. Komiczne? Może. Tylko, że nie każdy się z tego śmieje. Tutaj wspinali się i odpadli (jakoby): Wł. Mickiewicz, W. Borowy i niżej podpisany. Komiczne bywają różne śmiesznostki ludzkie, jak... at dajmy spokój. Ale uczciwy wysiłek biednego umysłu ludzkiego silącego się rozerwać mroki, jeżeli nawet nieuwieńczony skutkiem – może niekoniecznie jeszcze „jest źródłem niezrównanego komizmu”. A przynajmniej może niekoniecznie za taki podawać go w podręczniku, który właśnie ma uczyć wspinać się na strome ściany.

Te zagalopowania się temperamentu polemicznego to jużcić chyba skaza na podręczniku dążącym do sprawiedliwego obiektywizmu, ale niezbyt trudna do usunięcia, a w każdym razie łatwa do rozeznania nawet dla studenta, więc ostatecznie dla toku nauczania nie jest tak bardzo szkodliwa. Gorzej jest, kiedy taka popędliwość ujawnia się nie w wypadkach polemicznych, ale w wywodach merytorycznych. A niestety spotykamy ją i tam. Omówię jeden jej przykład – dość istotny.

Autor podręcznika jest zarazem autorem dużej rozprawy. *Zagadnienie emendacji tekstów Mickiewicza* i główne tezy rozprawy tamtej szeroką ręką wprowadza w podręcznik. Konkluzją tamtej rozprawy było, że Mickiewicz był autorem mało dbałym o korektę swoich dzieł i troskę o nią chętnie zrzucał na przyjaciół, a ci się z niej nie wywiązywali należycie. Tą drogą w teksty drukowane poezji Mickiewicza wkradło się mnóstwo usterek i zniekształceń, które on sam nieoględnie aprobował, a które dzisiejszy wydawca krytyczny w oparciu o autografy musi rugować. Dużo miejsca w podręczniku poświęcono omówieniu takich właśnie nadużyć zaufania ze strony Domejki (w tekście *Dziadów* cz. II) i Jańskiego (w tekście *Pana Tadeusza*). Wszędzie tam, gdzie tekst drukowany jest różny od tekstu autografu, a różność ta nie jest zatwierdzona wyraźnie przez poetę, wszędzie tam autor podręcznika rad by rewindykować wyrażenie autografu.

Nikt nie zaprzeczy, że rewizja przeprowadzona przez prof. Górskiego była potrzebna, była owocna i wykryła sporo ewidentnych, a dotąd niedostrzeżonych omyłek druku. Ale i w tej rewizji przydałby się większy umiar, a przynajmniej silniejsza argumentacja. Bo i tutaj raz po raz wydaje się, że pochopność autora jest za gwałtowna. Znowu weźmy przykład.

Całą stronicę poświęcił autor, by dowieść, że w *Panu Tadeuszu* w ks. IX wyrażenie: „Ociera bagnet z rury...” jest zniekształcone, że powinno być: Uciera. Na dowód cytuje podobne wyrażenie z Knapskiego, z Lindego. Wygląda to rzeczywiście dość przekonywająco. Ale czy sprawa dojrzała już do tego, by ją uznać za pewnik? Niestety, nie wszystkie wątpliwości rozproszone.

CC BY ND

Rzeczywiście „ucieranie świecy lub knota u świecy było pospolitym zwrotem" (str. 8), dodam, że w mojej wsi pospolitym jeszcze do końca w. XIX, sam go w domu rodzinnym słyszałem i używałem. Ale nie było zwrotem pospolitym: utrzyj knot z kaganka, albo ze świecy. A tymczasem w *Panu Tadeuszu* mamy właśnie ten zwrot: „Ociera bagnet z rury". I znaczenie tego zwrotu jest nieco odmienne. Utrzyj knot u świecy – znaczy: oberwij czubek knota, zdejm z niego zwęglony tam „grzybek". Tymczasem Maciek nie obcina końca bagnetu, tylko „końcem szablicy" strąca z lufy cały bagnet. (Sądzę, że nie należy tego czytać żołnierzom, bo nie uwierzą, ale nie o to chodzi). Otóż „ucierać świecę" a „ocierać bagnet z rury" to są dwie bardzo różne czynności. Czy winno się je określać odmiennym, czy tym samym zwrotem? Może tym samym. Ale dopóki autor nie zacytuje nam z Knapskiego czy Lindego zwrotu: utrzyj knot u kaganka, czy ze świecy – niech się nie dziwi, że resztki sceptycyzmu tlić będą w krytycznej myśli jego czytelnika.

Ale na to autor podręcznika ma argument inny: „uciera" jest w autografie, „ocierać" wprowadził Jański. Rozpatrzmy i ten argument.

Rzeczywiście tak było, że Mickiewicz pozwalał przyjaciołom-korektorom gospodarować dość swobodnie w tekstach jego utworów i rezultaty tej ich gospodarki respektował. Czy tylko przez niedbalstwo? Sprawa nie jest tak całkowicie prosta. Nie możemy tracić z oczu pewnych faktów.

Jest faktem, że Mickiewicz miał język szczególnie silnie nasycony regionalizmami. Silniej niż bliżsi jego koledzy, nawet niż współpowiernicy. Ale jest faktem drugim, że z tego szczególniejszego nasycenia zdawał on sobie sprawę; w mowie potocznej (w listach) nic sobie z niego nie robił, ale w utworach literackich z nim walczył. Stąd wyniknęło, że język Mickiewicza, a język wykończonych zwłaszcza dzieł literackich Mickiewicza – to są dwa zjawiska nieco różne. Nietrudno o dowody, ale uznaje to niewątpliwie sam autor podręcznika. Jest wreszcie faktem trzecim, że w tej walce swej korzystał Mickiewicz z pomocy bliskich przyjaciół i ich perswazji słuchał. Doskonały przykład mamy w przebiegu korekty w IV cz. *Dziadów*. Za Mickiewicza mieszkającego w Kownie robił ją w Wilnie współpowiernik, współuczeń z Nowogródka, ale człowiek o znacznym poczuciu norm języka ogólnoliterackiego, Czeczot. Otóż Czeczot wyperswadował przyjacielowi, że należy usunąć z utworu takie wyrażenia, jak „szmat kija", „potworo niewiasty", i poeta perswazji tej posłuchał. Gdybyśmy mieli autograf *Dziadów* cz. IV, a nie mieli korespondencji między Mickiewiczem i Czeczotem, obrońca prymatu autografu może by głosował za przywróceniem owego „szmatu", zduszonego jakoby przez bezskrupulatnego korektora.

Przy *Dziadów* cz. III ani przy *Panu Tadeuszu* nie mamy wymiany listów między korektorami: Domejką i Jańskim a Mickiewiczem, nie znamy też ew[entualnych] rozmów ich na temat owych korekt. Nie dowodzi to oczywiście, że ich nie było. Jednym słowem, nie mamy wystarczających podstaw, żeby rzucać kamieniami potępienia na obu przyjaciół-korektorów za ich jakoby samowolność i bezceremonialność. Natomiast znamy fakt, że Mickiewicz ich zmiany korektorskie aprobował. Czy przez niedbalstwo i obojętność, czy też z przekonania – na to znowu dowodu murowanego nie mamy.

Ale poszlaki mamy i to w tym drugim kierunku. Mickiewicz korygował oba te utwory w pierwszych wydaniach sam także i bardzo stosunkowo starannie. Dowód chociażby w tym, że w obydwóch umieścił *errata*. W tych erratach zaś nie pomieścił ani jednej formy wyrazu, którą by mu zepsuli jakoby korektorzy.

W tym „bij! zabij!" na korektorów, w szczególności na Jańskiego, zagalopowuje się autor podręcznika znowu nieoględnie. Jest zdania, że przy *Panu Tadeuszu* Mickiewicz ograniczył się tylko do poprawek stylistycznych, zaprowadzał je na marginesie i tak częściowo poprawiony egzemplarz korekty oddawał Jańskiemu, który dopiero robił korektę językową i zaraz potem już bez kontroli Mickiewicza oddawał arkusze do drukarni. Egzemplarz korektowy *Pana Tadeusza* zginął, jak wiadomo, przy zagładzie Warszawy. Autor podręcznika nie miał go w ręku. Ale ja go miałem. Otóż w notatce mu poświęconej stwierdziłem, że Mickiewicz robił korektę każdego

CC BY ND

arkusza dwa razy: raz na odbitym specjalnie dlań egzemplarzu i te jego poprawki Jański przenosił na swój egzemplarz, a następnie po zrobieniu całej korekty przez Jańskiego czytał Mickiewicz arkusze ponownie i między znakami korektowymi Jańskiego (a więc niewątpliwie później) wpisywał dalsze swe zmieniane wersje stylistyczne. Czas i okazji chyba dość, żeby rozejrzeć się w językowych propozycjach korektorskich Jańskiego i niestosowne usunąć. To wszystko każe ew[entualną] „samowolę” korektora wybitnie ograniczyć.

Żeby już zupełnie pognębić Jańskiego twierdzi autor, że pozwalał on sobie i na zmiany słowne. Oto jakoby w w. 287 pieśni I pierwotne „ażeby Jasińskiemu” zmienił na rzecz owych nieszczęsnych „konfederatów” (str. 211), co Mickiewicz „niestety przyjął”, przez co zmąciła się należyta chronologia akcji w poemacie. Twierdzenie zupełnie dowolne. „Konfederatom” jest rzeczywiście wpisane na arkuszu korektowym ręką Jańskiego, ale z tego nic nie można wnioskować o autorstwie poprawki. W notatce swej podałem inny jeszcze przykład tego, że Jański starannym swym pismem przepisywał na marginesie swego egzemplarza wersję stylistyczną wprowadzoną przez poetę w jego osobistym arkuszu korektowym. I tu sama zmiana jest niewątpliwie autorstwa Mickiewicza, który wprowadziwszy w poemat taką sytuację, że część majątku Horeszki została przez Targowicę nadana Soplicom (a więc w r. 1792) m u s i a ł usunąć ów element rudymentarny z Jasińskim jako anachronizm. Nie, z tego paragrafu Jańskiego za przestępstwo samowoli korektorskiej zasądzać nie będziemy.

I w ogóle mówiąc nie mamy absolutnie pewnych danych do twierdzenia, że zachodzące między autografami Mickiewicza a pierwodrukami zmiany form wyrazowych wyszły z woli tylko korektorów, a nie z woli również autora, który zbliżał i pozwalał zbliżać język swoich utworów do norm polszczyzny ogólnoliterackiej. Że ten proces zbliżania dokonany został tylko w pewnej mierze, z tego nie wynika, że go nie było w ogóle. Stwierdziwszy zatem, że w pierwodruku *Pana Tadeusza* znikają regionalno-archaiczne formy autografu: jachać, w Polszcze, złaja itp., nie musimy jeszcze przyjmować, że stało się to wszystko przez gwałt zadany chyłkiem przez przyjaciela. A zwłaszcza byłaby nieostrożna pochopność wydawcy, gdyby te usunięte formy przywracał znów zbyt ochoczo do tekstu głównego.

Argument ze słownika mickiewiczowskiego nie musi tu bynajmniej jeszcze decydować. Godzimy się w całej pełni z autorem, że taka restytucja jest zadaniem bardzo „trudnym i skomplikowanym” (str. 95) i dodajemy jeszcze: zadaniem nader niebezpiecznym.

Rozwiodłem się tak długo nad tą sprawą uboczną, bo też ona sporo miejsca zajmuje w podręczniku, a dla wykazywanej tu porywczości w sądach autora jest bardzo znamienna. Konkluzja tych wywodów krytycznych jasna. W śmiałym i pożytecznym wystąpieniu prof. Górskiego na rzecz emendacji w tekstach Mickiewicza jest sporo racji, ale nie cała. Zagadnienie jest sporne jeszcze i zanosi się, że będzie przedmiotem dyskusji. O ile dobrze zasłyszałem, wychodzi z Komitetu Red[akcyjnego] wydania tzw. „jubileuszowego” *Dzieł* Mickiewicza replika na ów artykuł o emendacjach. Nie można chyba z góry powiedzieć, że replika będzie zupełnie bezzasadna. Jeżeli zaś problem jest w dyskusji, jeżeli jest sporny, to czy naprawdę nadaje się on, by go pomieszczać w podręczniku w ujęciu jednostronnym, czy nie ostrożniej będzie poczekać, a nie bałamucić porywczo tych, co z podręcznika chcą się dowiedzieć rzeczy bezspornych.

To by były główne sprawy, w których recenzent różni się z autorem podręcznika, sprawy, które wzięte w proponowanym oświetleniu pod uwagę mogłyby wpłynąć już to na rozszerzenie zakresu podręcznika, już też na rewizję i stosowanie niektórych istotnych w nim elementów treści. Pozostają drobniejsze niedociągnięcia i usterki łatwe do usunięcia.

Na str. 35 czytam, że autograf *Balladyny* wcale do nas nie doszedł. Owszem, doszedł. Zachował go Reitzenhein, ofiarowując Tarnowskiemu. Na str. 55 okrężne usprawiedliwienie, dlaczego mamy przyjąć w *Panu Tadeuszu* poprawkę Januszkiewicza: Puzynina, zam[iast] Sapieżyny. Niepotrzebne, skoro można zademonstrować egzemplarz wydania 1844, na którym poeta sam własnoręcznie tę poprawkę wprowadził. Na str. 184 i n. szkicuje autor pewne frapujące

CC BY ND

zadania rekonstukcyjne: jak z tekstu *Rozmyślania* można odtworzyć jedno ze średniowiecznych tłumaczeń N[owego] Testamentu. Zadanie oczywiście ponętne, ale nie ma nic wspólnego z edytorstwem zabytku i stanowi osobne *pensum* filologiczne. W podręczniku cały ten ustęp jest po prostu nie na miejscu.

Na str. 162 mamy przykład, jak autor niezupełnie dobrze robi, nie różniczkując zadań edytorskich według wieku zabytków; odmienne są one przecież przy tekstach XVI a odmienne przy tekstach XIX w. Przy typie A postuluje on, by prócz wstępu filologicznego, tekstu, wszechstronnego aparatu krytycznego i komentarza, był jeszcze indeks użytych w tekście wyrazów z pełną ich lokalizacją. Dobre to przy Reju, Kochanowskim, jeszcze Potockim, ale uczeń gotów rozumieć, że w taki kompletny słownik należy zaopatrzyć także np. wydanie *Beniowskiego*. Nie było to chyba w intencji autora.

Na str. 158 omawia pewne trudności w odczytaniu jednego miejsca w autografie *Grażyny* i wskazuje, że nie podołał jej Bruchnalski. Aliści nie podołał jej i on sam. Wyraz, który autor podręcznika czyta jako „pagurki" (tak!), brzmi w autografie: ż a g a r k i i lekcję tę dość dawno podano do wiadomości. Autor jej nie poznał, czy nie uznał – nie wiadomo. W każdym razie może zachodzić obawa, że wyraz ten (lituaniam: badyle), raz jeden jedyny użyty przez Mickiewicza, nie wejdzie do słownika mickiewiczowskiego.

Na str. 188 powiedziano, że Czubek w wydaniu zbiorowym poezji Konopnickiej nie pomieścił *Pana Balcera*. Owszem, pomieścił. W przypisach na str. 226 powiedziano, że „Śmierć się wije u płota szukający kłopota" jest to „piosenka ludowa"; i tekst jej podano błędny, i „piosenką ludową" on tak bardzo nie jest.

Przy końcu książki podaje autor dzieła pomocnicze przydatne wydawcom przy opracowywaniu komentarza. Rejestr taki może być oczywiście przy podręczniku z grubsza tylko ostentacyjny, ale ten podano nadtoż już skromnie. Słowniki podano tylko główne, a przydałyby się i specjalne, taki np. jak terminologii łowieckiej (z „Łowca"), jak gwary złodziejskiej, więziennej, góralskiej, itp. Wśród encyklopedii specjalnych nie ma nawet *Pol*[*skiego*] *Słownika Biograficznego*, ani jednego z licznych takich słowników obcych. Jest *Reallexicon* Lubkersa i inny Pauly'ego i Wissowy, ale nie ma bliższego nam Norkera-Stammlera, ani żadnego z licznych obcojęzycznych słowników literackich. Z podręczników, które po prostu muszą leżeć na stole edytora, nie podano nawet Wierzbowskiego *Vademecum*. Nie ma ani jednej z Konkordacyj Pisma Św. W rejestrze bibliografij pozycję Hahna trzeba podać dokładniej. W literaturze pomocniczej z pożytkiem można odesłać do A. Albalata *Le travail du style enseigné par les correction manuscrites des grande écrivains.* Wiele pożytku przyniesie edytorowi przestudiowanie arcysumiennych *Prolegomena zu einer Wieland – Ausgabe* prof. B. Seufferta, I–VII, Berlin 1904–1924 itd., itd. W ogóle cały ten dział „pomocy" godziłoby się potraktować wiele a wiele szczegółowiej, toć to są podpórki, które należy uczniowi podsunąć pod rękę.

Trzeba kończyć. Jak się rzekło, podręcznik prof. Górskiego będzie pozycją nader pożądaną, zapełni lukę przykrą w naszej literaturze dydaktycznej. Szczegółowe obycie autora z problematyką na terenie XVI i XIX w., oparcie o doświadczenia cudze umożliwiło nadanie książce rozległych horyzontów. Doświadczenie nauczycielskie pozwoliło nadać pracy celową konstrukcję, a przyrodzony talent literacki autora wyposażył ją w wartką, porywającą niekiedy żywość wykładu. Leży w interesie uczących i uczących się, by podręcznik ten wyszedł możliwie pełny, jak najbardziej przystosowany do użytku i jak najsolidniejszy w wywodach i argumentacji. Przyczynić się do tego w miarę sił jest chyba przysługą dobrej sprawie. Tym się uzasadniają również przydługie wywody niniejszej recenzji roboczej.

CC BY ND

Konrad Górski

Odpowiedź na recenzję prof. S. Pigonia o książce K. Górskiego
Zasady poprawnego wydawania dzieł literackich

Prof. S. Pigoń zadał sobie duży trud, żeby sumiennie zrecenzować moją książkę, czym zasłużył niewątpliwie na wdzięczność zarówno autora, jak i wydawnictwa. Ale ponieważ pisał tę recenzję człowiek reprezentujący w wielu podstawowych sprawach zupełnie inne stanowisko niż autor książki, więc z konieczności będę musiał podzielić moją odpowiedź na dwie części: w pierwszej wyłuszczę, z jakich sugestii i poprawek recenzenta postaram się skorzystać, a w drugiej – co uważam za niemożliwe do przyjęcia.

Zaczynam od części pozytywnej.

W rozdziale omawiającym problematykę wydania zbiorowego dodam ustęp dotyczący stylometrii jako metody ustalania względnej chronologii dzieł tegoż samego autora i może cały p a r a g r a f o problematyce wydawania listów. Poświęcać osobnego r o z d z i a ł u listom nie będę. Teoretycznych zagadnień tu niewiele, raczej specjalne zastosowanie metod znanych skądinąd.

Sprawa rymów sandomierskich może być tylko uzupełnieniem tego, co się mówi o ustalaniu regionalnego pochodzenia autora na podstawie cech językowych dzieła. Zasada ogólna tej metody została omówiona. Można ją zilustrować i tym przykładem jako jednym z wielu szczególnych wypadków.

Przechodzę do wyszczególnienia problemów, w których zapewne wspólnego języka nie znajdziemy

Projekt zaopatrzenia każdego rozdziału w bibliografię szerzej ilustrującą problematykę przed chwilą wyłożoną żywiłem sam, ale chęć przesłania maszynopisu na termin spowodowała, że potraktowałem to jako *cura posterior*. Oczywiście postulat słuszny. W ramach tego postulatu będzie można wymienić i edycję *Genezis z Ducha* sporządzoną przez Lutosławskiego, chociaż muszę zaznaczyć, że książka moja nie jest historią polskiego edytorstwa i nie mam obowiązku cytować wszystkich pozycji bibliograficznych w tym zakresie.

Dziękuje recenzentowi za sprostowanie moich niedopatrzeń. Wyszło mi z pamięci, że autograf *Balladyny* został odnaleziony już po ukazaniu się lwowskiego wydania pod redakcją Kleinera (1924), gdzie się mówi we wstępie filologicznym o zaginięciu tegoż autografu. To samo jeśli chodzi o ukazanie się *Pana Balcera* w edycji Czubka. Mam tylko tomy I–VIII tego wydania, a ukazanie się t. X przeoczyłem. Tekst rymowanki o śmierci szukającej kłopota zacytowałem na podstawie *Słownika Warszawskiego*; jeszcze jeden dowód, że mu wierzyć nie można. Wreszcie co do indeksów przy wydaniach dzieł XIX stulecia sprawę jeszcze rozważę. Może prof. Pigoń ma rację, ale może i nie. To, że czegoś podobnego dotąd nie robiono, nie jest wystarczającym argumentem.

Oto lista rzeczy, które przyjmuję z recenzji. Przechodzę do wyszczególnienia problemów, w których zapewne wspólnego języka nie znajdziemy.

Naprzód koncepcja samego podręcznika. Sądząc z różnych uwag i postulatów, prof. Pigoń wyobraża sobie taki podręcznik jako zespół wskazówek technicznych, gotowych formuł, podręcznych ułatwień, słowem jakieś *vade mecum* dla pracowników w różnych firmach wydawniczych, których nie należy stawiać przed problemami do rozwiązania, tylko trzeba im dawać we wszystkich możliwych wypadkach rozwiązania gotowe. Z takiego ujęcia zadań podręcznika wynika naprzód postulat, żeby dawać w nim rzeczy b e z s p o r n e (str. 13), a następnie, żeby w nim pomieścić rozdział o korekcie, tablice świąt ruchomych itp. Rzeczy, które mi nawet w głowie nie powstały. – Otóż to jest zupełne nieporozumienie. Uznaję oczywiście konieczność wydania również takiego *vade mecum* ze wszystkimi możliwymi informacjami i wskazówkami technicznymi, ale ja tego robić nie będę, bo to nie mój fach i nie moje zainteresowanie. Gdyby podtytuł „podręcznik edytorstwa naukowego” miał prowadzić do takich nieporozumień u innych odbiorców, to należałoby go zmienić na podtytuł „teoria edytorstwa naukowego”. Rzecz

CC BY ND

do rozważenia przez wydawnictwo. – A co do pomieszczania w podręczniku rzeczy bezspornych, to kategorycznie postulat ten odrzucam. Można żądać, żeby rzeczy sporne były przedstawione jako sporne (i tak jest w mojej książce), ale nie podobna żądać dawania tylko rzeczy bezspornych, bo to byłoby równoznaczne z odtwarzaniem stanu nauki z dnia wczorajszego. Problemy żywe i aktualne zawsze mogą się okazać sporne i autor podręcznika ma wszelkie prawo zająć w nich stanowisko, które uważa za słuszne, byleby uprzedził, że są ludzie, którzy o tym inaczej myślą. Ale pod tym względem nikt mi nic zarzucić nie może.

W sprawie tekstów XVIII i XIX w. oraz w sprawie interpunkcji w przedrukach tekstów XVI w. stanowiska zmienić nie mogę. Wiem, ile pracy zespołowej kosztowało opracowanie przepisów transkrypcji dla tekstów XVI–XVII w., bo brałem w tym udział, więc na samodzielne opracowanie czegoś podobnego w zakresie tekstów nowszych porywać się nie mogę. Opracowanie to musi zorganizować IBL, a dopóki tego nie uczynił, trzeba się ograniczyć tylko do wskazania konkretnych przykładów, jak te rzeczy były robione przez wzorowych edytorów, jak Kleiner czy Bruchnalski. – Natomiast wystąpienie Ulewicza uważam nadal za nieprzemyślany do końca. Wszelka transkrypcja jest wyrażeniem za pomocą nowoczesnych znaków symbolicznych tego, co było wyrażone nieaktualnymi już dziś znakami przez dzieła dawne. Obowiązuje to zarówno w języku, jak i w muzyce. Wiemy, że muzyka renesansu była dość uboga w kolorycie instrumentalnym. Otóż gdyby ktoś transkrybując kompozycję renesansową na instrumenty dzisiejsze, powprowadzał dla ożywienia kolorytu instrumenty, dla których renesans nie posiadał analogii, dałby przeróbkę dawnej kompozycji, ale nie jej transkrypcję. Innymi słowy nie można transkrybować tego, czego nie było. Język XVI w. nie znał symbolów graficznych wyrażających akcenty uczuciowe, jak wykrzyknik czy wielokropek, więc i my nie mamy prawa wprowadzać tego do transkrypcji. – Ponieważ widzę, że moje dawniejsze argumenty nie przekonały prof. Pigonia, dodam nowe i stanowiska nie zmienię.

A teraz sprawa selekcjonizmu aparatu krytycznego. Będę musiał i tu nieco uściślić sformułowanie, aby nie dawać zewnętrznej okazji do pomawiania mnie o niekonsekwencje. Różnica między prof. Pigoniem i mną sprowadza się do tego, że ja chcę uregulować ów selekcjonizm pewnymi zasadami, a prof. Pigoń pragnąłby pozostawić wszystko dyskrecji i taktowi edytora. Ale przykład aparatu krytycznego w Wyd[aniu] Sejmowym jest dowodem, że nawet bardzo tęgi fachowiec może tu zawieść. Nadaremnie bowiem prof. Pigoń chce się tu przedstawić jako nieudolny wykonawca takiego przedsięwzięcia. Nie wierzy w to na pewno sam prof. Pigoń i nie uwierzy nikt postronny. Błędna jest zasada, której prof. Pigoń broni, bo kryterium ważności przy wyborze wariantów uzależnia podświadomie od naukowych zainteresowań edytora. Oto wszystko!

Błędna jest zasada, której prof. Pigoń broni, bo kryterium ważności przy wyborze wariantów uzależnia podświadomie od naukowych zainteresowań edytora

Zarzut zbyteczności moich rozważań nad wydzieleniem średniowiecznego przekładu Nowego Testamentu z *Rozmyślania przemyskiego*, bo to nie ma nic wspólnego z wydawaniem zabytku według recenzenta, świadczy o zupełnym niezrozumieniu moich intencji. Nie chodzi przecież o wydawanie *Rozmyślania*, tylko o wydawanie średniowiecznego przekładu N[owego] T[estamentu] wkomponowanego niejako w tekst *Rozmyślania*. Odsyłam prof. Pigonia do książki Witkowskiego, który dokonywa podobnych rekonstrukcji oczywiście w zakresie dzieł niemieckich.

A teraz sprawa bardzo ważna. Spróbujmy sprawdzić drogą statystyki słuszność twierdzenia prof. Pigonia, że „autor pełną ręką czerpał doświadczenia z dorobków własnej praktyki, a w mniejszym stopniu brał pod uwagę doświadczenia cudze". Statystyka taka będzie w tej chwili bardzo niedokładna, bo nie odtworzy, ile miejsca zajmuje w moim tekście omawianie cudzego dorobku edytorskiego, i nieraz parostronicowe analizy (np. metod Kleinera przy wydawaniu dzieł z autografu) będzie liczyć jako jedną pozycję. Toteż dopiero indeks nazwisk w wydrukowanym dziele pozwoli w całej pełni zmierzyć, jak wiele miejsca zajmuje w mojej książce wyzyskanie cudzego dorobku edytorskiego. A więc pomijając pierwszy rozdział, który

CC BY ND

jako wstępny nie wchodzi tu w rachubę, otrzymamy następujące liczby odwołań się do edytorskiego doświadczenia innych ludzi:

1. Barycz – 1.
2. Bruchnalski – 2.
3. Brückner – 2.
4. Chrzanowski – 4.
5. Czubek – 7.
6. Drogoszewski – 1.
7. Dürr-Durski – 1.
8. Gaertner – 2.
9. Gubrynowicz – 2.
10. Kawecka – 1.
11. Kleiner – 20.
12. Krzyżanowski – 4.
13. Łucki – 2.
14. Małecki – 1.
15. Pawlikowski – 2.
16. Pigoń – 10.
17. Pini – 1.
18. Płoszewski – 2.
19. Szweykowski – 1.
20. Ujejski – 2.
21. Wierczyński – 1.
22. Autorowie obcy – 11.

Razem 80 wypadków. W zestawieniu z tym liczby odwołań się do moich „doświadczeń” wyglądają tak: wydanie *Krótkiej rozprawy* Reja (do spółki z Taszyckim) – 7 przykładów; inne wypadki – 11; różne uwagi w oparciu o mój artykuł o emendacji tekstów Mickiewicza – 11. Razem – 29.

A więc nie tylko moje doświadczenia nie górują liczbowo nad cudzymi, ale im znacznie ustępują. Jak powiedziałem, indeks nazwisk w przyszłości wykaże nierównie dokładniej wzajemny stosunek między omawianiem doświadczeń moich i cudzych.

Rozumiem oczywiście, co się naprawdę kryje za tym niezgodnym z rzeczywistością zarzutem. Chodzi o wyraźny fakt wprowadzenia do mego podręcznika wywodów z cytowanej tu już pracy mojej *Zagadnienie emendacji tekstów Mickiewicza*. Prof. Pigoń najlepiej ujawnił swój stosunek do tej pracy, mówiąc, że Komitet Redakcyjny Wydania Jubileuszowego przygotowuje „replikę” przeciwko owemu artykułowi (str. 13). Zdziwiło mnie to słowo r e p l i k a. Czyżbym nie rozumiał jego znaczenia? Dla pewności zajrzałem do świeżo wydanego *Słownika wyrazów obcych* i wyczytałem, że r e p l i k a t o j e s t o d p o w i e d ź u s t n a a l b o p i s e m n a z a c z e p k ę a l b o z a r z u t y. No tak, oczywiście! To samo dotąd myślałem. Powstaje wobec tego pytanie, kogo ja zaczepiłem, czy komu stawiałem jakieś zarzuty, że na ów artykuł trzeba pisać replikę. Artykuł ten w oparciu o przerobienie autografów Mickiewicza i materiały *Słownika* Mickiewiczowskiego zawiera propozycje wielu poprawek, które należałoby wnieść do tekstów poety. Propozycje te nie zostały postawione w sposób jednako kategoryczny. Jedne wydają mi się bezsporne, inne – dyskusyjne, jeszcze inne – możliwe do rozstrzygnięcia za pomocą ponownego zbadania egzemplarza korektowego *Pana Tadeusza* (że był on złożony przed wojną do Biblioteki Krasińskich i tam spłonął, o tym w chwili pisania artykułu nie wiedziałem!). Jest rzeczą oczywistą, że Komitet Redakcyjny Wyd[ania] Jub[ileuszowego] (którego członkiem o decydującym autorytecie jest prof. Pigoń!) nie mógł przejść do porządku nad moim artykułem i musi zająć stanowisko, które z propozycji moich przyjmuje, a których przyjąć się nie decyduje. To

CC BY ND

jest jasne, ale gdzież tu miejsce na „replikę"! – No cóż, podświadomość płata nam czasem figle i ujawnia poprzez użycie słów, które się wymknęły spod kontroli piszącego, różne czające się w głębi duszy *ressentiments*. Wynika z tego mimowolne przyznanie się prof. Pigonia, że pismo, które przygotowuje Komitet Wyd[ania] Jub[ileuszowego] i którego głównym autorem będzie niewątpliwie prof. Pigoń, przyniesie zamiast odpowiedzi *sine ira et studio* zwykłą prestiżową rozgrywkę. Och, jakże nieostrożnie użyte tu zostało słowo „replika"!

Z kolei sprawa kilku sprostowań, które domagają się raczej sprostowania przeze mnie. Czytałem na str. 12, że twierdzenie moje, jakoby Jański samowolnie zmienił w. 287 w II ks. *P*[*ana*] *T*[*adeusza*]: „Ażeby Jasińskiemu ciągnąć ku pomocy" na: „Aby konfederatom ciągnąć ku pomocy", jest zupełnie dowolne. Prof. Pigoń jest jedynym człowiekiem w Polsce, co miał w ręku korektowy egzemplarz *Pana Tadeusza* i mógł go zbadać, więc wszystko, co o tym egzemplarzu wiemy, na jego informacjach się opiera. Otwieramy więc str. 27 książeczki prof. Pigonia pt. *Ze studiów nad tekstem „Pana Tadeusza"* (Kraków 1928) i czytamy co następuje (mowa o pracy Jańskiego jako korektora):

> Zdaje się jednak, że tu i ówdzie zdobywał się on także samodzielnie na poprawki merytoryczne; on to bodaj dopiero uzgodnił synchronistykę wypadków i w ks. II 287 pierwotny wiersz „Ażeby Jasińskiemu ciągnąć ku pomocy", wnoszący w poemat anachroniczną datę 1794 r., zastąpił ogólniejszym: „Aby konfederatom...". Poprawka dokonana jest jego pismem. Chyba żeby i ją przeniesiono tu z arkusza Mickiewicza.

Ostatnie zastrzeżenie prof. Pigonia, zrobione na wszelki wypadek, nie osłabia jego pierwotnej hipotezy, narzucającej mu się z większą siłą, gdy pisał pod bezpośrednim wrażeniem obcowania z egzemplarzem korektowym. Teraz prof. Pigoń kategorycznie twierdzi, że „sama zmiana jest n i e w ą t p l i w i e autorstwa Mickiewicza". No tak, teraz to „niewątpliwie" jest znacznie wygodniejsze. Wtedy wystarczało: „Chyba że" etc. Ale skąd mogłem przeczuć taką ewolucję poglądów?

Drugie sprostowanie dotyczy ustalenia, kto dokonał poprawki „Sapieżyna" na „Puzynina" w egzemplarzu wyd. 1844 r.: Mickiewicz czy Januszkiewicz? Klaczko sądził, że sam Mickiewicz, ale oto prof. Pigoń lepiej zbadał tę sprawę i tak ją zreferował w swoim aparacie krytycznym do *P*[*ana*] *T*[*adeusza*] w Wyd[aniu] Sejmowym (tom IV, str. 458):

> w. 142 w A2: S a p i e ż y n a. Tak wydrukowano w W1 i w tekście wydania z r. 1844; dopiero na egzemplarzu tego wydania w r. 1847 poprawiono ręką Januszkiewicza na: P u z y n i n a, tzn. zgodnie z historią. O poprawie poinformował Klaczko (mylnie przypisując ją Mickiewiczowi); z wydań pierwsze przyjęło ją warszawskie 1858 r.

Tak napisał prof. Pigoń w 1934 r.; dziś prostuje moją informację, opartą na jego twierdzeniu i powiada, że „można zademonstrować egzemplarz wydania 1844, na którym poeta sam własnoręcznie tę poprawkę wprowadził" (str. 13 recenzji). – A więc której informacji mam wierzyć? Egzemplarz ów jest w Paryżu, sprawdzać sam nie mogę, więc co mam począć? Chyba będę wierzyć informacji dawniejszej.

Trzecia rzecz wkracza w dziedzinę sporów o odczytanie rękopisów Mickiewicza. W autografie *Grażyny* jest jedno miejsce, w którym poeta słowo pierwotnie napisane chciał przerobić na inne, ale wypisał tylko pierwszą zgłoskę nowego wyrazu. W tekście ostatecznym (drukowanym) wyrazem tym są k u r h a n y. Chodzi o to, co miało być pierwotnie. Bruchnalski odczytał p a g u r k i (tak! – podobny błąd u Mickiewicza całkiem możliwy!), a prof. Pigoń ż a g a r k i (prowincjonalizm kresowy oznaczający „suche badyle"). W dodatku prof. Pigoń, opierając się na swoim obcowaniu z autografem *Grażyny* przed wojną, napisał w „Języku Polskim" cały artykuł o tych „żagarkach", gdzie opis sytuacji autografu wygląda tak:

CC BY ND

> Słowo..... było parokrotnie kreślone i jest trudno czytelne. Na wyrazie pierwotnym napisał poeta: p a g ó r k i, ale to przekreślił i nadpisał k u r h a n y. Tak też przeszło do wydania drukowanego.... Ale ów najpierwotniejszy wyraz? (Jęz. Pol. Rocz. 1949, zesz. 5, str. 193).

Załączam tu (z zastrzeżeniem zwrotu!) znacznie powiększoną fotografię kwestionowanego miejsca. Nietrudno się przekonać, że cały opis sytuacji w autografie jest niezgodny z rzeczywistością. Słowo nie było parokrotnie kreślone. W ogóle nie było kreślone. Wszystkie litery z wyjątkiem pierwszej są nietknięte. Tylko pierwszą literę zakrywa duże K rozpoczynające zgłoskę K u r; jest to początek słowa k u r h a n y, które weszło do druku. Przyczyna takiej niedokładności w opisie autografu wyjaśnia się faktem, że prof. Pigoń pisał swój artykuł w oparciu jedynie o to, co zapamiętał z przedwojennego obcowania z autografem. Gdy po wojnie ogłoszono fototypiczną podobiznę autografu, prof. Pigoń dał do „Języka Polskiego” (rocz. 1951, zesz. 4, str. 185) uzupełniającą notatkę, gdzie przyznaje się do napisania poprzedniego artykułu z pamięci i w imię zasady „jest ścisłość, to ścisłość” (sam tak napisał!) sprostował, że odczytał wadliwie owo pierwotne słowo, które ma brzmieć ż a g a r k i, nie zaś ż a g a r y, jak mu się dotąd wydawało. – Niemniej trzeba będzie przyznać Bruchnalskiemu, że lepiej pierwotne słowo odczytał. Jak widać z linii ukośnej, która biegnie, wznosząc się do góry między dolnymi pałeczkami litery *K*, nie może być mowy o tym, żeby pierwsza litera, zakryta owym *K*, mogła przedstawiać małe *z*, natomiast gdy zestawimy najbliższe słowa tekstu zaczynające się od małego *p*, nietrudno zauważamy, że słowo zaczynało się od *p*. Pozostaje sprawa, czy litera po *g* jest to *a* czy *u*. Kto się obeznał z autografami Mickiewicza, ten wie, że te dwie litery bywają czasem trudne do odróżnienia, ale wystarczy popatrzeć na przyimek *ku* w wierszu następnym, aby dostrzec, że litera *u* jest tu identyczna z tą, która następuje po *g* w badanym słowie. Nie ulega zatem wątpliwości, że o żadnych ż a g a r k a c h w *Grażynie* nie ma mowy.

Tyle o sprawach merytorycznych. A teraz jeszcze parę słów o rzeczach osobistych. Prof. Pigoń odczuł z goryczą jakieś dopatrywanie się komizmu w działaniach trzech wydawców, którzy pewne nieczytelne słowo u Mickiewicza odcyfrowali: jeden (Wł. Mickiewicz) – jako p y s z c z y k, drugi (Pigoń) – jako k u p e r e k, trzeci (Borowy) – jako r o ż e c z k i. Wyjaśniłem to już w liście prywatnym do prof. Pigonia, że moją intencję zupełnie fałszywie zrozumiał, ale muszę to wyjaśnić i na użytek wydawnictwa. Już to samo, że wśród tych ludzi był Borowy, jeden z moich najbliższych przyjaciół, którego pamięć czczę jakby był moim rodzonym bratem, powinno by mnie ochronić od takich podejrzeń. Komizm, o którym mówię w tekście mojej pracy, jest obiektywnym komizmem zestawienia trzech słów, które są tak diametralnie różne swoim znaczeniem i normalnym kształtem graficznym, a które mogły być wyczytane z tego samego niewyraźnego zygzaka przez trzech ludzi, działających oczywiście z najwyższym nakładem sił i dobrej woli. Przypomina mi się pewna nowelka Fritza Reutera, gdzie opisana została majówka jakiejś małomieszczańskiej rodziny. W wyniku tej eskapady rodzina dostaje się do jakiegoś ogrodu zabaw publicznych i gra na loterii fantowej. Ale jedna osoba tylko miała szczęście – stara ciotka, która wygrywa... spodnie do konnej jazdy. Otóż nie chodziło o ośmieszenie tej ciotki, chodziło o komizm zestawienia pojęć starej ciotki i spodni do konnej jazdy. Pamiętajmy, o ileż silniej musiał działać ten komizm na ludzi współczesnych autorowi tego opowiadania. Proszę zobaczyć w starych „Kłosach” rysunki przedstawiające wejście jakiejś wycieczki na Rysy. Wśród tych taterników jest i kilka kobiet: wszystkie są w sukniach do kostek i na pantofelkach z wysokimi obcasami. A tu naraz stara ciotka i rajtuzy!

Wreszcie sprawa ostatnia – o której piszę z największą przykrością i zażenowaniem. Chodzi mi o ton tej recenzji, o przekroczenie przez prof. Pigonia granic obowiązującego między kolegami *savoir vivre*'u. Zadaniem recenzenta było skontrolować intelektualną treść mojej książki i wykazać drogą społecznie sprawdzalną jej ewentualne błędy. Kilka pierwszych stron recenzji trzyma się doskonale w szrankach tego umysłowego turnieju. Ale poczynając od str. 6, ton się

CC BY ND

zmienia. Analiza poszczególnych fragmentów mojej książki przestaje służyć intelektualnej kontroli, aby zejść tylko do roli przykładów (kolejno numerowanych), mających ilustrować jakąś inną tezę, o której udowodnienie PWN chyba autora nie prosiło. Chodzi o pokazanie, że moje ewentualne zalety przedłużone poza normę stają się wadami. Wady te zostają wyszczególnione: subiektywizm, zacietrzewienie, uprzedzenia, wybujałości temperamentu, polemiczne zagalopowywanie się, porywczość w sądach! – no cóż, lista tych kwalifikatorów towarzyszących moim poglądom jest dość bogata. Ale czy autor recenzji nie zdaje sobie sprawy, że zeszedł tu z płaszczyzny intelektualnej kontroli i wdział na siebie togę moralisty czy może mundur nauczyciela szkoły średniej, stawiającego stopnie ze sprawowania niegrzecznemu chłopcu. Nie bardzo wiem, co go do zajęcia takiej postawy upoważnia. Między nami jest dziesięć lat różnicy wieku. Dystans to ogromny między 10-letnim chłopcem i 20-letnim młodzieńcem, ale w miarę posuwania się w latach nas obu, ten dystans chyba już nie może uprawniać prof. Pigonia do przybierania wobec mnie postawy moralnego karciciela. Jeśli jeden starszy pan ma lat 70, a drugi 60, to obaj są starszymi panami i w pewnym sensie rówieśnikami. W tej sytuacji jedna strona może karcić drugą tylko na podstawie przyjacielskiego upomnienia tej ostatniej. Ja prof. Pigoniowi takiego upoważnienia nigdy nie dawałem i nie widzę najmniejszego powodu do dawania czegoś podobnego. Prof. Pigoń przesłał mi kopię swej recenzji, podkreślając, że uważa to za akt koleżeńskiej lojalności. Nie chodzi tu oczywiście o samą kopię, którą i tak bym z PWN dostać musiał, chodzi o podniesienie przyłbicy, że to on tę recenzję pisał. Gdy ja kiedyś pisałem recenzję o przygotowywanym przez prof. Pigonia tekście *Improwizacji* do ćwiczeń edytorskich, nie uczyniłem tego samego, nie ujawniłem mego nazwiska, choć z samego sposobu pisania prof. Pigoń domyślił się autora. Nie sądzę jednak, by mnie to obowiązywało, skoro w recenzji mojej nie przekroczyłem nigdzie praw intelektualnej kontroli i nie wyciągałem z ewentualnych błędów czy niedociągnięć pracy żadnych wniosków o mankamentach charakteru jej autora. Otóż sądzę, że to podniesienie przyłbicy przez prof. Pigonia nie wyrównywa tu rachunku, nie okupuje owego przekroczenia praw, jakiego się prof. Pigoń wobec mnie dopuścił.

Jest mi niezmiernie przykro, że musiałem to napisać. Uznaję w całej pełni wielkie zasługi naukowe i wielkie wartości moralne, które reprezentuje w naszym życiu zbiorowym prof. Pigoń. Właśnie dlatego, pisząc mój artykuł o emendacji tekstów Mickiewicza, czuwałem nad tym, żeby go ani słowem nie urazić, ani na chwilę autorytetu jego nie obniżać. Żeby ocenić należycie ten ton, niech prof. Pigoń odświeży w swojej pamięci własny artykuł *Jakiego Mickiewicza znamy*, ogłoszony 33 lata temu. Jest pewna analogia między obu sytuacjami. Wtenczas prof. Pigoń upomniał się o błędne odczytanie wielu utworów Mickiewicza wydawanych z autografu. Ileż w tym artykule poczucia własnej wyższości, ile natrząsania się z cudzych błędów, ile strzał zamaskowanych krytyką „kopisty", ale wymierzonych naprawdę w ludzi dobrej woli, którzy żyli przed narodzinami teorii i praktyki naukowego edytorstwa! Niech prof. Pigoń porówna ten artykuł z tym, jak ja piszę w moim podręczniku o błędach ludzi dobrej woli, i niech wtedy osądzi, czy ma prawo przywdziewać togę moralisty, aby mi stawiać stopnie ze sprawowania.

Toruń, dn. 26 marca 1955. /Konrad Górski/